

Sługa Boży Mateusz (Matt) Talbot

DIAGNOZA: alkoholizm

„Choroba składa się z dwu elementów. Z obsesji umysłowej, która powoduje, że alkoholik nie może wyobrazić sobie życia bez alkoholu i nawet po długiej przerwie sięga po kieliszek. Prawie zawsze po wypiciu pierwszej kropli odzywa się drugi element choroby, czyli uzależnienie biologiczne, które powoduje utratę kontroli nad ilością wypitego alkoholu; chory pije więcej, niż zamierza. Obiecuje sobie, że tylko jedno piwo, a wraca do domu pijany. Mimo że każde pijaństwo powoduje coraz poważniejsze problemy zdrowotne, rodzinne, towarzyskie, a często i prawne, alkoholik nie umie przestać pić”²¹.

Mateusz Talbot był skazany na śmierć z przepicia. Tak przynajmniej wyrokują statystyki i współczesna medycyna. Jednak po szesnastu latach toksycznego związku z alkoholem wytrzeźwiał,

²¹ *Alkoholizm – ogólna charakterystyka*, www.niepije.pl (dostęp: 2.01.2017).

i to z dnia na dzień. Co więcej, wytrwał w tym stanie ponad czterdzieści lat, do swojej śmierci w 1925 roku. Kluczem okazało się to, że zaufał Bogu, a On okazał się silniejszy od nałogu.

Matt urodził się 2 maja 1856 roku w Dublinie, w rodzinie prostych robotników portowych. Był drugim z dwanaściorga dzieci. Dorastał w nędzy, częściowo spowodowanej alkoholizmem ojca, który przepijał zarobione pieniądze. Z powodu wywoływanych przez niego awantur rodzina wciąż musiała się przeprowadzać. Przez dwadzieścia pierwszych lat Mateusza zmieniali miejsce zamieszkania aż jedenaście razy.

Naukę młody Talbot zakończył po dwóch latach (jako bardzo energiczne i psotne dziecko nudził się w szkole) i już jako dwunastolatek zaczął pracować. Został gońcem, jednak miejsce pracy wybrał fatalnie – był to skład win, w którym praktykowano próbowanie sprzedawanego towaru. Co gorsza, część zarobku była wypłacana w bonach towarowych na alkohol. Nastolatek, mający skłonność do nadmiernego picia wyniesioną już z rodzinnego domu, zaledwie po roku pracy sam był alkoholikiem. Uzależnił się też w najgorszym momencie swojego życia – większość nałogowców, którzy zaczęli pić w wieku dorastania, nigdy nie wychodzi z uzależnienia lub ma z tym o wiele większe problemy niż ci, którzy popadli w nałóg w późniejszym wieku.

Rodzice szybko się zorientowali, co dzieje się z ich synem. Matka modliła się o jego trzeźwość i błagała, żeby przestał pić. Ojciec bił go za pijaństwo, ale jednocześnie sam dawał negatywny przykład. Wkrótce alkoholu zaczęli nadużywać, w miarę

dorastania, także pozostali synowie Talbotów. W trzeźwości wytrwał jedynie najstarszy.

Mateuszowi nie pomogła nawet zmiana pracy – ojciec wymógł na nim przejście do pracy w dokach, a potem na budowie. Zmieniło to jedynie sposób picia: młody mężczyzna zrezygnował z wina na rzecz whisky. Pośrednio jest to świadectwo potwierdzające, że zmieniała się też jego tolerancja na alkohol, co stanowi jeden z wyznaczników poważnego uzależnienia. Żył w stałym rytmie: pobudka, praca, pub i picie, powrót do domu i najczęściej awantura z pijanymi jak on braćmi lub ojcem, sen.

Był towarzyski, chętnie dzielił się swoimi zarobkami, fundując alkohol kolegom. To sprawiało, że jego pieniądze szybko topniały, a zaczęły rosnąć długi. Doszło do tego, że zaczął kraść. Zdobył się nawet na to, że zabrał skrzypce niewidomemu żebrakowi i zastawił je w lombardzie, żeby tylko mieć pieniądze na whisky. Ona była królową i centrum jego życia. Pod jej panowaniem dotrwał do dwudziestego ósmego roku życia.

To wtedy pewnego dnia pod koniec miesiąca, kiedy nie miał już ani grosza przy duszy, stał przy drzwiach do pubu, licząc, że któryś z kumpli od kieliszka postawi mu kolejkę. W końcu wcześniej on też im fundował. Jednak koledzy mijali go obojętnie albo kpiąc z niego, a kiedy zaczął żebrać o wsparcie, jeden z nich warknął: „Ty świnió!”.

Słowa te były dla Matta jak cios w twarz. Był wtedy zapewne między dziewiątym a dziesiątym z trzynastu stopni uzależnienia. Dziewiąty to faza, w której ze względu na psychiczne i fizyczne zmiany wywołane picciem dąży się do zdobycia alkoholu

za wszelką cenę, dziesiąty – to obrzydzenie do samego siebie, nieustanny kac moralny. Epitetowi, jakim został obrzucony przez kogoś, komu wcześniej „pomógł”, dodała zapewne siły także nieustanna modlitwa matki. Tego dnia jej syn wrócił do domu trzeźwy i z mocnym postanowieniem, że nie weźmie do ust już ani kropli alkoholu.

Pani Talbot знаła potęgę nałogu i podeszła do obietnicy syna z dużą ostrożnością. Zasugerowała mu, żeby najpierw zobowiązał się do pewnego okresu trzeźwości, nie przyrzekał od razu na całe życie. Mateusz następnego dnia poszedł do spowiedzi, do której nie był trzy lata, i na ręce spowiednika złożył obietnicę, że przez następne trzy miesiące zachowa całkowitą trzeźwość. I tak rozpoczął się jego czyszcenie.

Kilka lat później powie swojej siostrze, że łatwiej wskrzesić zmarłego, niż przestać pić, jeśli się jest alkoholikiem. Trudno odmówić mu racji, szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę, że przy wychodzeniu z nałogu nie mógł liczyć na profesjonalną terapię ani pomoc grupy wsparcia.

Alkohol uzależnia w równym stopniu, co heroina, choć jest to proces bardziej rozciągnięty w czasie, przez co bardziej zdradliwy. Osoba pijąca nałogowo po zaprzestaniu picia cierpi fizycznie i psychicznie. Mateusz zapewne miał dreszcze, mdłości, zawroty głowy, drżały mu ręce. Jego serce od czasu do czasu gwałtownie kołatało, miał niestabilne ciśnienie, był drażliwy i łatwo się złościł. Bolało go całe ciało, jakby miał ostrą gripę albo został dotkliwie pobity. Mogły się też pojawić majaczenia i zaburzenia świadomości. Do tego dołączał ciągły wewnętrzny

niepokój i przymus picia połączone z brakiem umiejętności znalezienia innego przedmiotu zainteresowania niż butelka pełna „lekarstwa”. Nałogowcy są przyzwyczajeni do natychmiastowego zaspokajania swoich potrzeb, nie mówiąc o niwelowaniu bólu i trudności psychicznych – Mateusz musiał nauczyć się cierpliwości i zaczynał tę naukę w skrajnych warunkach. Do tej pory zawsze to whisky regulowała jego życie emocjonalne: był smutny – pił, cieszył się – pił, był zmęczony – pił, chciał świętować – pił. Teraz wyrzekł się jedyne sposobu radzenia sobie z uczuciami. Z pamięci musiały wypływać wszystkie złe uczynki z przeszłości, co nie ułatwiało mu trzeźwienia. A czasu na przemyślenia było dużo, skoro nie tracił go już na pobyty w pubie i pijackie burdy. Każde ze wspomnień było świetnym powodem, by się napić, bo „i tak jestem zerem”. Codziennie trzeba było wstać do ciężkiej pracy, a wieczorem nie było pociechy w płynie, gorzałka zabrała ze sobą także spokojny sen.

Był za to powrót do domu, w którym nadal panowała butelka. Jego ojciec i bracia nadal pili, zapewne też i jego namawiali do kieliszka. Jedyne ludzkie oparcie miał w matce, która była abstynentką, i najstarszym bracie. I był też inny fundament, głębszy i pewniejszy.

Następnego dnia po pierwszej spowiedzi Mateusz poszedł na mszę i przyjął Komunię. Odtąd codziennie uczestniczył w liturgii, często też adorował Najświętszy Sakrament. Kościół był przestrzenią, do której uciekał przed pragnieniem i gdzie oddawał Bogu swoje cierpienie związane z trzeźwieniem. Pierwsze próby modlitwy pewnie ograniczały się do mechanicznego

powtarzania tekstów, o ile dolegliwości fizyczne pozwalały mu to robić. Alkohol uszkadza mózg, co przekłada się na trudności ze skupieniem i pamięcią – to także nie ułatwiało zwracania się do Boga. Mimo to trzeźwiejący Talbot z uporem powracał do trwania przed Jezusem Eucharystycznym.

W takiej praktyce upewniło go jedno ze zdarzeń. Podczas spaceru przechodził obok pubu, w którym najczęściej pił z kolegami. Poczul tak olbrzymią chęć napicia się, że wszedł do środka. Z ciągu wybiło Mateusza to, że barman go nie poznał i długo zwlekał z obsłużeniem stałego bywalca. Ten rozejrzał się po klientach przy barze i nie dostrzegł żadnej znajomej twarzy. To mu uświadomiło, że to już nie jest jego świat, i dało siłę do wyjścia z pubu bez wypicia kolejki. Pobiegł do najbliższego kościoła i siedział w nim, dopóki nie zaczęto zamykać budynku. Wyciągnął z tej sytuacji dwa wnioski: po pierwsze, przestał nosić przy sobie pieniądze i dokumenty. Dzięki temu nawet gdyby chciał kupić alkohol, nikt by mu nie sprzedał, nawet „na kreskę”. Drugi wniosek dotyczył metody radzenia sobie z kryzysem. Odkrył, że może go przeczekać z Chrystusem.

Mijały przyrzeczone trzy miesiące. Na początku znikły objawy fizyczne, przynajmniej te najbardziej dolegliwe, przeszła też faza euforii następująca po wstępnym kryzysie. Przyszędł czas, który nazywa się fazą muru: wróciła apatia, smutek, a konieczność poukładania sobie na nowo życia wydawała się zadaniem nie do wykonania. Czuł się zapewne samotny, bo zawieszony między światem trzeźwych i pijących, szczególnie tych, których spotykał w domu.

I w tym kryzysowym momencie, kiedy większość trzeźwiących wraca do picia, Mateusz postanowił przyrzec abstynencję na kolejny kwartał. Do przyrzeczenia dołączył też konkretne zmiany w swoim życiu. Przede wszystkim zmienił środowisko – poszukał ludzi, którzy nie pili. Ustalił sobie stały plan dnia: rano szedł na mszę, potem do pracy, po niej spacerował lub modlił się w jednym z kościołów do późna. Sobotnie popołudnie i całe niedziele spędzał w kościele. Widząc, że sytuacja w domu ściąga go w dół, wyprowadził się od rodziców i wynajął pokój.

Drugi kwartał trzeźwości przypadł na czas przystosowania. Trzeźwe życie w porównaniu z euforią lub gniewem czasu picia wydawało się Mateuszowi nudne i monotonne. Nie widział przed sobą celu, rzeczywistość była szara i przewidywalna. Mimo to nie poddał się – po pół roku trzeźwości złożył przyrzeczenie dożywotniej abstynencji. To nie znaczy, że od czasu do czasu nie wracał głód alkoholowy lub że opuścił go smutek czy wyrzuty sumienia z powodu zła, które wyrządził w ślepej pogoni za butelką. Proces trzeźwienia wciąż trwał – zwykle kończy się on po roku lub dwóch od zaprzestania picia. Jednak Mateusz doszedł już do etapu, na którym odzyskał jako takie panowanie nad swoim życiem i oddał je w ręce Chrystusa i Maryi.

Dotarcie do tego punktu nie było kwestią silnej woli. Tak naprawdę pijący od trzynastego roku życia Talbot nie miał czegoś takiego, jak silna wola. Nie miał nawet czegoś takiego, jak wolna wola – decyzje podejmowało za niego uzależnienie. Na pewno energię do pierwszych miesięcy trzeźwości dała mu obelga, którą usłyszał pod pubem, ale mogła ona go tak mocno

zaboleć tylko dlatego, że w głębi serca nie chciał być świnią. Ocalała w nim resztką poczucia własnej wartości, odrobina godności potrzebna do tego, by zawalczyć o siebie. Potem otrzymał niepewne wsparcie od matki, ale główną motywacją było to, że przyrzekł Bogu. Chociaż jego wiara w tamtym momencie była słaba i pozbawiona formacji, to jednak Chrystusowi wystarczyła ta wątła nitka, by przyciągnąć go do siebie. Talbot wiedział tylko, że przyrzekł Bogu, a takie obietnice łamią tylko świnie. A on przecież nie był świnią.

Kiedy jednak przyszedł pierwszy kryzys, potrzebował głębszej motywacji. I tu możemy się już tylko domyślać, że płynęła ona z tego, czego Mateusz doświadczał na modlitwie. Jezus nie uwolnił go od konsekwencji alkoholizmu, ale jednocześnie dał mu siłę do ich pokonania. Dominikanin Cyprian Klahs napisał kiedyś: „Są bowiem ludzie, którzy dojrzewają w walce. Cenią, będą strzegli i zachowają tylko to, co zdobyli w walce. Więc trzeba im dawać w walce to, co ma się stać ich bogactwem”²². Mateusz musiał być właśnie kimś takim, a Bóg, znając jego serce, dał mu siebie w najlepszy możliwy sposób. W zmaganiu z nałogiem, własną przeszłością i słabością woli uczył się bycia dojrzałym człowiekiem – i to u najlepszego Nauczyciela.

Co oczywiście nie ujmuje niczego ludziom, z których pomocy korzystał: spowiedników, nowych znajomych, współpracowników. Trzeba do nich doliczyć też autorów książek, które czytał. W momencie kiedy przestał pić, był prawie analfabetą, gdyż w dzieciństwie uczył się bez zaangażowania i szybko opuścił szkołę.

²² C. Klahs, *Pamiętniki Jonasza i inne apokryfy*, Poznań 2016, s. 13.